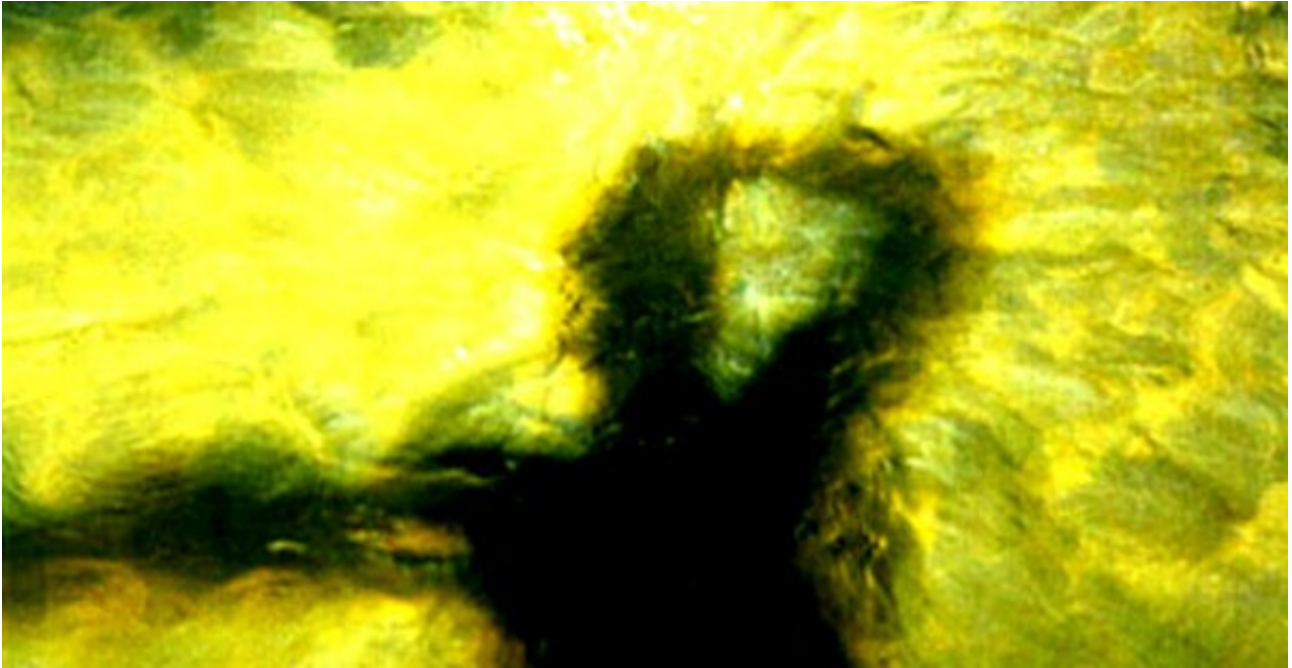


/WSTĘP WZBRONIONY

TAJEMNA PODRÓŻ PO KRAŃCACH ŚWIADOMOŚCI

TEKST I GRAFIKA: MARCIN PINIAK



Idziemy w trójkę: Ja, I. i P. Moją obsesją są kieszenie. Mam zwyczaj noszenia przy sobie wszystkiego, co się da. W tej chwili również (aparat, dyktafon, filmy do aparatu, kasety, lampa błyskowa, zapalniczka, papierosy, lampka z radio, woda do picia itd...) w uchu mam słuchawkę, wokół szyi wije się mały mikrofon podłączony do dyktafonu. Reporter brukowej rzeczywistości

I. jest grafikiem w dużej firmie, a P. jest muzykiem.

P:

- Słuchajcie w ogóle opowiem wam ciekawą rzecz, którą zauważyłem, która mnie dosyć zdziwiła. Mianowicie, wróciłem tam z Warszawy teraz, to ja tam niektórych rzeczy po prostu nie wyprałem. Nie zdażyłem tam wyprać i wróciłem ze sobą. Słuchajcie ten pot, który tam się osadził na tych rzeczach, których nie wyprałem, ja nie wiem, o co chodzi za bardzo, no, bo ja...wiecie po prostu wiadomo, jakieś rzeczy, które są nie wyprane, a które były noszone, no... nieładnie pachną, zwłaszcza jak się wiesz, że stelaża to wyjmie. No, ale spoko, nie...Te rzeczy, które ja tam miałem, w których się tam pociełem, po prostu tak straszliwie cuchnęły, że aż po prostu skręcało wiesz, że po prostu aż to był taki jakiś w ogóle, jakby jakieś chemikalia były w tym, albo coś takiego. Ciekaw jestem, co to było...wiesz. Czy to ze mnie właśnie nie wylaziło, takie różne.

I:

- Można się pokusić o takie stwierdzenie. Jednak naukowcy by się w tym momencie zastanowili.

Ja:

- Ha, ha, ha, hahahahahaha...by powiedzieli: zaraz, zaraz, hola, hola.

P:

- Eeee..., po prostu by się nie zgodzili i tyle.

Ja:

- Po prostu złego proszku używasz - prawda P.?

P:

- Hmm, wiesz nie używałem złego proszku, tylko po prostu wiesz (I: - Marcin pocił się, pocił się po prostu.) pociłem się w czystych rzeczach.

I:

- Zły pot wydzielasz.

P:

Tak..

Ja:

Toksyczny.

I:

Dziwnie się czuję w ogóle, jakoś mi w uszach szumi.

Ja:

Mi też, bo mam słuchawkę.

Gwiazdka z nieba

Maszerujemy obok siebie asfaltową drogą, biegnącą pomiędzy rozkołysaną zielenią drzew. Mijamy porośniętą mchem tablicę z nazwą miejscowości, w której rozrasta się przestrzeń naszych przeżyć. Miejscowość, choć nie wyróżnia się niczym szczególnym ma w sobie ten magiczny element spokoju.

Tego w mieście ewidentnie brakuje. Skręcamy w las. W nozdrza uderza zapach świeżości i leśnej flory. Chylimy czoła pięknej Bogini. Napychamy płuca unikatową w naszej codzienności wonią. Wchodzimy na cieką ścieżkę prowadzącą wzdłuż nie zalesionych połaci zielonego dywanu. Mijają nas zdziwione spojrzenia młodych wędkarzy.

Przechodzimy obok szkieletu samotnego, martwego drzewa. Zatrzymujemy się na chwilę podziwiając fluorescencyjne plamy na trawie. Purpurowy talerz słońca chyli się ku zachodowi. Jest pogodny, bezwietrzny wieczór. Całe nasze życie sprowadza się do tej jednej chwili. Chłoniemy piękno, którego jesteśmy częścią. Ptaki nad naszymi głowami bezszelestnie przecinają błękit. Być przytomnym w tym jednym momencie, to otrzymać największe skarby świata. I nie sposób to utracić. Jesteśmy miliardami bez brzemienia obaw utraty.

Ja:

Oooo, jest nieźle. Pięknie. Jakiś komentarz?

P:

Może już sprecyzujemy jak już nagrywasz; to jasne bardzo białe, jasno zielone, ciemno zielone i róż z niebieskim.

I:

Jeszcze gada do rzeczy. Czuję się słabo jednocześnie energia mnie dosłownie rozwała.

Ja:

Księżycyca dziś nie ma tak jak ostatnio, z taką kurcze dużą buzią. Tara taratta tararararata...parararam Pajęczyna w mojej głowie, pajęczyna. Idziesz sikać czy co? A ja chyba sobie muszę oddać mocz. Ojej klimaty, klimaty...

Dochodzimy do brzegu rzeki. Gdzie nie gdzie widać usypane z kamieni wysepki dla wędkarzy. Nieopodal nas rozpościera się zaorane pole. Wokół pusto, oprócz nas żywej duszy. Zaczynamy się wszyscy dziko śmiać.

P:

Daje, co?

Popijam wodę z sokiem z plastikowej butelki, którą przydźwigałem ze sobą. I. Częstuje ciszę serdecznym śmiechem.

Ja:

Widzisz P. jak to dobrze, że wziąłem tyle wody.

Zapalamy po trującym patyczku.

I:

Nie chcę palić. (Ja: - Może jednak, I. zapal.)Nie.

P:

Trawko kochana, przyprowadź koleżanki swoje, przyprowadź przyjaciółki.

Ja:

- Ou dziskas fak, o kurwa dziskas fak. Dopiero teraz tego pałera czuję.

Śmiech...

Kładziemy się twarzami do nieba. Pierwsze gwiazdy nieśmiało przebijają się przez granatową powłokę. Oddechy stają się głębsze, ciała bardziej zrelaksowane. Rozpoczyna się przedstawienie.

Śmiech...

P:

Poproszę jeszcze dupę miss polonii z 2003 z warzywami.

Ja:

Na boczku.

P:

Gwiazdko przyprowadź koleżanki prosimy i przynieś oranż.

Ja:

Taki koleś był Szopen. Ten to był w ogóle wykrecony, jezu. (P: - A pamiętasz jego dziewczynę? Jak ona miała? Wiewióra, tak?) Ta ona w ogóle tańczyła na ulicy i coś tam z nią było, nie? Coś tam miała takiego swojego, ale Szopen też był dobry.

P:

Ona opowiadała, że ja się w niej kocham i ktoś tam jeszcze i ona nie wie, kogo wybrać.

(...) A jest taki zespół, który nazywa się control alt delete?

Ja:

Nie ma, ale może być. I. (I: - Noo), co ty tam tak myślisz?

Dostrzegam na niebie parę gwiazdek - Przyprowadziła koleżankę stary...tutaj (wskazując ręką) tam jest trzecia stary. Zobacz jak się zjeżdżają.

P:

No, chodźcie, chodźcie dziwki.

Śmiech...

Ja:

Prostytuty niebieskie.

W oddali słycać ujadanie psów.

Ja:

- Wiecie, chciałbym kiedyś zrobić fotoreportaż z życia kota. I mogliby to opublikować w Wyborczej. Kota z domu brata Alberta. Albo bezdomnego chomika.

P:

Formuje się kapitan planeta.

Oddajemy się namiętnej obserwacji sfer niebieskich. Całe niebo iskrzy się, wygina. Błyszczące punkty, co chwila zmieniają położenie. Jest ich coraz więcej, są coraz piękniejsze. Czuję lekkie drżenie w ciele, w ośrodku poniżej pępka wibruje potężna energia. Księżyc opuścił nas chowając się w kłębach chmur. Od czasu do czasu wystaje tylko jego chudy sierp. Nad naszymi głowami przelatuje ogromne ptaszysko.

Ściągam ciuchy, kładę się na ziemi wdychając niesamowity widok wypełniający ośrodek wzroku. Wstaję, chodzę z trudnością utrzymując równowagę. Funduję sobie przechadzkę po polu i z powrotem. I. siedzi z podkurczonymi kolanami zatopiony w własnym wszechświecie. P. z głową w ziemi zwiedza światy wewnętrzne.

Nieskończone bogactwo - powiada. Od czasu do czasu fundujemy sobie po trującym patyczku, dziś smakują one wybornie. W tym momencie żyjemy w osobnych przestrzeniach. W głuchości chwili dudnią nasze oddechy. Bez reszty wtopieni w wewnętrzne ekrany rozchodzimy się w indywidualne ścieżki, jak koty bure, oszalałe. Burza doznań.

W stronę świątyni

Pomału zbieramy się do dalszej drogi, nachodzi nas gwałtowna potrzeba zmiany położenia w czasoprzestrzeni. Zabieram plecak i wszystkie te śmieci, które przytaszczyłem ze sobą. Nakładam na grzbiet łachmany. Idziemy, ale ja mam wrażenie jak bym płynął, ziemia pod stopami dziwnie się rozchodzi, niczym grzęzawisko. Oświetlamy krajobraz jasnym okiem latarki. Przed nami czerwone światła, wieża czy coś w tym rodzaju, nie mniej jednak wygląda to niezwykłe. I. mówi, że to wygląda jak świątynia buddyjska, tylko taka minimalna.

No, co zrobić, rzecz oczywista idziemy w stronę tej minimalnej świątyni. Takie rzeczy nas kręca, a zwłaszcza w taką noc jak dzisiaj. Nagle dostrzegam wjeżdżający na drózkę samochód. Jego reflektory wydają mi się zdziczałymi wściekłymi ślepiami, które obnażają nasz intymny świat. Zawsze ktoś się musi napatoczyć, kto ci te twoje puzzle znów rozsypie, choć byś miał już prawie skończone dzieło. Czasem rzecz jasna to najlepsze, co się może zdarzyć, ponieważ układasz puzzle do góry nogami nawet się nie orientując.

Krzyczę: - Chłopaki akcja, jest akcja! Przez głowę przelatują mi myśli, by się ukryć, zakopać, stopić się z tłumem. Oczywiście wyobraźni

już widzę rosyjską mafię, gangsterów z toporkami i kałachami. Przygotowany dół na zwłoki. I nas w tym wszystkim, takich nie z tej planety i słyszę nie istniejący dialog:

Gangster 1 (czarna skóra, dresy, złoty łańcuch na zajebicie grubej szyi, w ręce jakiś super wielki rewolwer i szaleńczy wzrok): - Co jest kurwa, co wy wyjebane w ryj oszołomy robicie na naszej jebanej polance?

Drugi gangster zachodzi nas od tyłu i wywija wielkim jak nierealność sytuacji kijem bejsbolowym i śmieje się jakoś dziwnie, spokojnie.

Gangster 3 (ubrany podobnie, bo oni w sumie w ogóle się nie różnią, są jak agenci w Matrixie, trzyma czarny karabin maszynowy): - Trzeba ich teraz zajebać, wykurwić im w te zasraniutki łby pociąć na cząstki i zakopać no, co zdziwieni kurwa go mać. Kretu napierdalamy ich?

Gangster 1: A gdzie to panowie idziecie w tą ciemną noc, aaa? Pot leje się z nas strumieniami, cali dygotamy jak galaretka gelwe. - My w stronę tej minimalnej świątyni buddyjskiej. Oni: - A to, co innego panowie. Może potrzebujecie ochrony?

Koniec wariacji wracamy do realności. Puzzle jednak nie ruszone, bawimy się dalej. Fałszywy alarm. A tutaj I. mówi, że coś tam zawsze to pożądanie, że znowu to samo. A mnie i P. pasuje. Dobrze to czerwone światło. Co jest innego do roboty? Trzeba iść.

Zatrzymujemy się na niezwykły spektakl oświetlony reflektorem naszego jupitera. Akcja dzieje się na polnej drodze. Bohaterem jest ćma, która dosłownie tańczy wokół słupa światła. Piękno. Chwila przerwy i płyniemy dalej. Czerwone światło wyznacza nam kierunek. Świątynia wabi nas, przyciąga, magnetyzuje jak piękna gotowa na wszystko kobieta. Raz jest gorąco raz zimno, nie wiem czy dla nas tylko, czy generalnie. Czas odpocząć siadamy na ścieżce rozglądamy się w ciemności (sic!).

Trujące patyczki idą w ruch. Coś tam mamroczone pod nosami, coś tam pijemy z plastikowej butelki. Drzewa wyginają się ciut nienaturalnie jak sprężyny. Księżyc się ukrywa w szarych kłębach porozrzucanych niedbale na suficie. I po dłuższej chwili znów brniemy przed siebie, głowy kręcą się mimowolnie w poszukiwaniu wrażeń. A tego u nas pod dostatkiem. I. rzuca pomysł, aby uderzyć w las.

Zakręcenie

Coś w nim jest - powiada. - Zobaczcie na tą strukturę, niesamowite!

Fakt jest to niesamowite, konary drzew wyglądają jak ogromna kompozycja i te kształty, coś nie do uwierzenia. Jak to ujął P. to wygląda jak fraktale. Las pochłania nas całkowicie, wciąga w swój rytm, życie. Mam wrażenie, że nas zaprasza, gości, częstuje szczęściem, spokojem. Siadamy i wytykamy radary na ful. A mówię wam, jest, co odbierać.

I:

Tam jest fioletowe światło. Widzicie? Łuna fioletowa.

Ja:

Jak to meandry rzeczywistości?

I:

Wy nie macie czegoś takiego, że jak patrzycie w jeden punkt to tam się zaczyna świecić u góry wszystko w kącie widzenia i w ogóle.

Ja:

Tak to tak. A spójrz na mnie, widzisz to u mnie?

I: Hmm, wiesz, co widzę teraz jakby ciebie nie było. Jakby był las, na którym jest płaszcz.

Ja:

Skoro jesteście już tak przy mnie, to Cristale bardzo dobre, palcie, bardzo dobre patyczki. Cristale najlepsze, tylko koniecznie Cristale. Czujesz zareklamować TO, to byłoby halo. TO zareklamować w ogóle kurwa stary, zrób taką reklamę. Zrób taki wkręt, żeby TO zareklamować. Zareklamuj TO. To byłoby niezłe, byś był geniuszem.

I:

Nie musiałbym mieć dużo pieniędzy. Nie wydaje się wam, że ludźmi łatwo można manipulować, można im wkręcać jakieś takie historie, że to...

Ja:

No pewnie, że łatwo.

P:

Ja sobie już teraz sam niezłe wkręcam sam sobie.

I:

Wszyscy stoimy i kiwamy się, to jest po prostu wiesz...

Rzeczywiście stoimy w trójkę w samym środku rozchwianego lasu wyginając się na boki. Mam wrażenie jakby udzielił się nam jego rytm, jak byśmy zostali podłączeni do wielkiego serca bijącego we wszystkim i wszędzie. I w naszych skroniach pulsuje ta pierwotna moc, tętno współistnienia.

Dym papierosowy wsiąka w liście, przefiltrowany przez nasze lekko nadwerżone płuca. Mam wrażenie, że jesteśmy w transie, w który wprowadziła nas Bogini. TO jest tutaj, i umiera za każdym razem jak tylko o TYM pomyślę. Czuję się jak w pustej kuli, wszystko stało się lekkie, bez troski i takie samo w sobie oczywiste. Jakiego zrozumienia można w tym wypadku szukać? Mądrość i głupota. mGaŁdUrPoOŚTĆA.

Wszystko w temacie.

P:

Ja już sobie tak wkręcam, że...ja to kupuję na przykład.

I:

Słuchajcie a może spróbujemy się trochę pokręcić.

Ja:

- Wokół swojej osi?

Nie wiem skąd wziął się u I. pomysł z tym kręceniem, kiedyś ktoś gdzieś mi już to zaproponował i pamiętam, że nie skończyło się to najlepiej. Ale powiem szczerze pora na kręcenie była w sam raz, więc dlaczego nie. Sceneria była odpowiednia na rozłożenie ramion i spenetrowanie kręcącego się w kółko umysłu. Zaczynamy się kręcić. Po dłuższej chwili czujesz się jak w kopule, ona cię jakby zamyka w swoim wnętrzu, kształty i formy zlewają się w jedną całość. Jak ruchomy obraz, który zatapia cię żywą abstrakcją.

Trudno w tym stanie tworzyć koncepcje i myślowe dyrdymały. To tak jakby i myśli straciły swój sens i powylewały się gdzieś na zewnątrz siebie. Niby są, a jednocześnie ich nie ma. Dziwny stan. Gubisz punkt zaczepienia, zakotwiczenia w rzeczywistości. I. mówi, że widzi kręgi świetliste. P. ma wrażenie, że stoi w miejscu. Ja mam wrażenie, że oni razem tworzą muzykę samym tym kręceniem, jakiej świat nie słyszał. Kopuła, kopuła... - dodaje P. Pałacy dylemat - jak się zatrzymać?

Dobra siadam. Wszystko jeszcze wiruje, pomału świat wchodzi w swoją starą skórę. Już jest taki, jakiego go znam nabrał kształtu i formy, myśli już go określają zabijając magię. Czyli standard. A pro po kręcenia:

- To jest w ogóle rzecz, taka zabawa, która jest po prostu mało rozpropagowywana, tak naprawdę. Uważam, że to jest po prostu jedna z najlepszych jazd w ogóle, zupełnie totalna natura, że tak powiem - podsumowuje P.

I:

Co tu się może stać w ogóle? Zrzygać się możesz w najgorszym wypadku. Coś jest w tym takiego dziwnego.

W chatce wuja P.

Podkręceni już, co nieco, postanawiamy się zbierać. Z pomocą latarki szukam swoich porzrzucanych bambetli. Pakuję w super ekstra plecak zakupiony na bombowej promocji w Carefurze, co od niego jedynie plecy bołą. Kupowanie plecaków na takich promocjach to oznaka płytkiej wyobraźni, można skończyć na wózku. Mniejsza z tym.

Ku naszemu zdziwieniu (oprócz P.) okazało się, że jesteśmy niedaleko naszej stacji (a dokładnie domku P.), piękna drewniana chatka wyrasta przed nami niczym fatamorgana. Ku ogólnej radości.

Niedaleko naszej kwatery jest chata letniskowa niezłego gościa. Jegomość ma hotel do prywatnego użytku na lato. Jest to zamek z dwoma basztami, pomalowany jak domek dla lalek barbie. Jest tam basen, kort tenisowy, boisko do kosza, cuda wianki. Nawet pies ma budę o wielkości kawalerki, pewnie jeszcze z wygodami i dostępem do internetu. Tylko psa tam nie ma. Ponoć typ chce wszystkich wokół wykupić, ale P. się nie dał i teraz możemy sobie spokojnie w cudownym drewniaczku wypoczywać. Chatka ma dwa piętra, kuchenkę, prysznic i zajebisty klimacik. W drewnianym WC jest archiwum „Przyjaciółki” z lat 80-tych.

Jest i tarasik z wygodnymi fotelami i dużym drewnianym stołem, śniadanka smakuja tam wybornie. Ale wracajmy do wydarzeń teraźniejszych.

Stoimy przed drzwiami, przyglądając się sobie wzajemnie. P. proponuje byśmy zgadywali, która jest godzina, niestety, gdy jesteśmy już w środku okazuje się, że wszyscy zaliczyliśmy pudło czasowe. Wnętrze wygląda jak strefa okupacyjna w Iraku, trzech facetów - wiadomo. Włączam telewizor i tylko śnieg widzę padający. Przycisk power - to najlepsze rozwiązanie w takim wypadku. Szukujemy prowiant na ciąg dalszy, czyli trujące patyczki i wodę z sokiem. Zostawiam całe cholerstwo, jakie nosiłem ze sobą. Teraz

czeka mnie nieznośna lekkość bytu.

I. mówi, że może by spać czy coś, ale to tylko parosekundowa niepoczytalność. I już drzwi się zamykają za nami i noc wyciąga po nas łapy. Tajemnicze macki niewiadomego. A my cali zvarci i gotowi puszczamy do niej oko. Ruszamy w stronę chaszczy, kniei, zawitych polnych drózek. Powietrze wypełnia aromat podniecenia, jeszcze dużo przed nami. Idziemy spokojnie, miarowo, zsynchronizowani z otaczającą nas scenografią.

Zdradzają nas jedynie, co jakiś czas, żarzące szczyty trujących patyczków. Wchłaniam mijane krajobrazy jak witaminy, upycham je w apteczce podświadomości, by w momencie kryzysu cywilizacyjnego mogły skutecznie przeciwdziałać chorobie. Tak to jest, baterie trzeba ładować. A takie miejsca i takie okoliczności są jak święte źródła, trzeba pić na maksa i napełniać bidony. Pustynia z betonu nikogo nie szczędzi. Idziemy opodal ośrodka wypoczynkowego, w jednym z domków wciąż się pali światło.

Zawsze mam taką chęć zajrzenia do środka, podejrzenia, co inni porabiają. Oczywiście tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Tak, jestem wścibski. Ale tragedia z tym żadna. Myślę o tym, że właśnie w tym momencie śnią się tysiące snów, pływają gdzieś obok nas. Ludzie zmieniają położenia w swych ciepłych łóżkach, a my śnimy swój sen na jawie z nieskrywaną satysfakcją.

Obcy sam sobie

Docieramy do ruchomego moło na rzece, pomost pod naszym naporem uderza o taflę wody, wydając głuchy dźwięk. Jesteśmy zasklepieni murem drzew, które oddalone od nas szerokością rzeki nadają miejscu niepowtarzalny klimat. W lustrze wody migotają refleksy światła, niczym gwiazdy u naszych stóp.

Przyglądam się swojej twarzy odbitej w wodzie, powykrzywiana ruchomymi zmarszczkami, nabiera dziwnego obcego wyrazu. Jezus, to ja? Ja, jakie to dziwne.

P. wyciąga swój miecz z pokrowca po pluszach, (kto wie, o co chodzi, dostanie nagrodę), broń błyszczą dumnie w świetle rozkojarzonego księżyca. Narzędzie zostaje naładowane energią od I. Siedzimy skrzyżnie jak mistrzowie pierwotnej, tajemnej ceremonii. Magowie wtłoczeni w mistykę przepływającej chwili.

Miecz wędruje z dłoni do dłoni (Konkurs: kogo lub co możesz pokonać mieczem o długości poniżej 10 cm?), każdy z nas z szacunkiem obcuje z tym szlachetnym przedmiotem. Ceremonia dobiega końca, jej moc rozchodzi się po naszych ciałach i umysłach. Jest dobrze, mamusi jak tu pięknie - powiedziałyby znajomy mojego znajomego. Chwila milczenia, głowy odrzucamy do tyłu. Zapach powietrza wymieszanego z wonią wody przez chwilę przeniósł mnie w czasie do odległych reminiscencji. Do zamierzchłych krain dzieciństwa.

Mam takie jedno dyżurne wspomnienie, woda, mocne letnie słońce, spokój, pływam na plecach, delikatny wiatr, bardzo zresztą przyjemny i piosenka Urszuli „Dmuchawce latawce”. Wracam.

Gwiazdziste niebo mam nad sobą i pod sobą, jest w tym stanie błogości, coś wręcz hipnotycznego. Nawiązuje się między nami rozmowa. W zasadzie wobec tego, co jest wokół nas, całego piękna i pełni, nasza konwersacja wydaje się bardzo bełkotliwa. Jakies tam nieudolne próby, objęcia tego wszystkiego przy pomocy tak mizernych środków, jak małe robaczywe słowa i zwodniczy spekulatywny intelekt. Dyskusja, spór pomiędzy I. i P. nabiera bardziej zdecydowany charakter, słowa ścierają się, walczą jak oszalałe o swoją rację bytu, o swoje iluzoryczne zwycięstwo.

Karłowate myśli snują się, wtłoczone w konceptualne chimery, tuczące się niczym porcelanowe figurki uderzające o beton. Coś niby wiemy, przeczuwamy, a jednocześnie macamy się jak ślepcy. Prawda przepływa przez rozciągnięte palce. Niezauważona. Wymyślam, aby ten, kto ma rację stawiał kolację. Pomysł się podoba. Coś zaczyna się konkretnie zmieniać, rzeczywistość pomału, pomalutku fiksuje. Jakoś już jest inaczej, zdecydowanie, to, co widzę odbiega zasadniczo od tego, do czego jestem przyzwyczajony, jeżeli chodzi o odbiór tzw. świata realnego.

Ten tutaj, powiem szczerze, zaczyna konkretnie świrować. Chłopcy mi się trochę wyłamują z form, do których jestem przywiązany. I. robi się w oczach jakimś nieokiełznanym, szamańskim mistykiem. Ma ogromną brodę, cały jest jakby we włosach, długich czarnych kudłach. Siedzi skrzyżnie odprawiając jakiś sobie tylko znany obrządek. Matkoświętachrystepanie, co tu się dzieje, co się z nimi porobiło.

I. ma w sobie jakąś pierwotną moc, która tej właśnie nocy, znalazła ujście. P. znowu odwrotnie, przybrał formę jakąś taką postmodernistyczną, cały w tatuażach, kolcach, wymalowany, wielki, demoniczny. Zaczyna klaskać, wszystko dudni, huk rozdzierający spokój, wywraca mi mózg. Usta ma granatowe, wokół oczu czarne plamy, cały jest fosforyzujący. Kurwa, z kim ja się zadaję - przemyka mi przez skołowaną głowę. Pytam jak ja wyglądam w takim razie. Ja wyglądam za to jak z kreskówki. Punol z bajki. No nie..

Patrzemy sobie na twarze, dziwne zapadnięte, blade. Przebija przez nie szkielet. Ponure, czarne, marność formy. Robi się ciężko, wszystko grzęźnie. Czuję się tym przygnieciony, ogarnia mnie niemożność zmiany czegokolwiek. Wszystkie organy, obślizgłe, kopulują w moim wnętrzu. To jest ordynarne, bezwstydnie, syfiaste. Brud ciała, jego kosmata śmiertelność uderza mnie z całą mocą. Upokorzenie. Noszę to na sobie, w sobie. Jestem tym.

Przygniata mnie ciężar mnie samego. Cała sytuacja staje się zbyt bagnista, obozowatą. Jestem jak wywrócony na lewą stronę. Ciało, myśli, wszystko jest nie moje, czyjeś, ale nie wiem czyje. Przeżyliście kiedyś coś takiego? Czas ruszać, nic tu po nas.

Pod prąd

Idziemy piaszczystą ścieżką, ostatnie moje wrażenia odpadły w natłoku nowych doznań. Wchodzimy na betonową drogę, mijamy zatopione w sennym niebycie domy. Blask lamp ulicznych nadaje krajobrazowi charakter impresji. P. mówi, że zaprowadzi nas w

fajne miejsce, był tam ostatnio z K. i jest tam fantastycznie.

Rzeczywiście, gdy docieramy do celu, widoki wręcz powalają. Klimat tolkienowski, wcale bym się nie zdziwił, gdyby z pod ziemi wyrosła armia elfów, czy czegoś w tym rodzaju. Wszystko owiane mgłą, która gęstnieje nad taflą wody. Drzewa rozpościerają swoje ogromne konary, nadając miejscu rys tajemniczości. Ogromny dąb patrzy na nas z pobłażaniem. Ponoć jest bardzo stary i ma w sobie ogromną energię.

Siadamy pod nim, znów dodajemy sobie animuszu napełnionym przyrządem z pudełka po pluszach. Ziemia jest namoknięta, pachnie wilgocią. Spokój - to miejsce emanuje właśnie nim. Dobrze jest oddychać głęboko, wypełnić serce tym uczuciem. Cisza, zero słów, mało myśli, tylko oddanie się chwili, krótkie wchłonięcie. P. radzi by objać drzewo, poczuć jego moc. Dotykam ogromnego pnia czołem, rzeczywiście czuć, że ma w sobie coś wyjątkowego. Postanawiamy dotrzeć na drugą stronę rzeki. Natrafiamy na tablicę z napisem „Wstęp wzbroniony”, co jest wystarczającym powodem by pójść tym tropem. Wchodzimy. Jesteśmy nad brzegiem rzeki zaraz koło dużej, betonowej tamy. Jest cudownie i TO MA BYĆ ZABRONIONE! Pastelowe kolory tego miejsca, działają bardzo kojąco, rzeka szumi rytmem wewnętrznego prądu.

Trzask, nagle lecę w dół na łeb na szyję, myśli z ogromną szybkością wirują po wystraszonym mózgu, łup...leżę na twardym gruncie, na szczęście ziemia a nie woda. Żyję. Czuję uścisk dłoni I. wznoszę się do poziomu. Strach ma naprawdę Wielkie Oczy. Siadamy na betonowych płytach, moczymy dłonie w ciepłej wodzie. Niesamowite miejsce, magiczne i przytulne. Rozmawiamy. P. mówi, że nie wyobraża sobie życia bez takich momentów, bez piękna. Chyba nikt z nas sobie tego nie wyobraża, nie sposób przecenić wartości takich chwil jak ta.

W całej tej gonitwie naszej do tych iluzorycznych celów i skarbów, jest na szczęście miejsce na coś takiego. Na zwykłe spoczywanie w tym, co jest, samo w sobie pełne i doskonałe. Cudowne jest to, że mamy czas i możliwość rozmawiać o tym, w takim właśnie tutaj. Pomimo tego, że już nie długo zatopimy się znów w szaleńczym kole, czyniącym nas niewolnikami własnych demonów i bogów, możemy to zobaczyć, nadać temu miejsce, odebrać demonom zabójczą moc. W tej niewoli, są chwile wolności. W pogoni, chwile odpoczynku.

I odpoczywamy pałac zabójcze papierosy. Być może za kilka lat będziemy sobie obcy, wprzęgnięci w katorgę życia. Może też spędzimy takich chwil wiele, dzieląc się ze sobą własnym wewnętrznym bogactwem. Tego wiedzieć nie sposób. I tak jest chyba lepiej.

I. powiedział coś bardzo pięknego, wtedy nad brzegiem tej rzeki. Powiedział: Jestem wdzięczny za to.